Nr. 1. Podgórze-Kraków, 11 października 1902. **Rok I.**

PRENUMERATA: kwartalnie — 1 korona. —

ECHO POLSKIE

NUMER pojedynczy — 10 halerzy. —

Wychodzi co sobota

Wszystkie listy i korespondencye do „Echa Polskiego“ należy adresować: Redakcya „Echa Polskiego“, w **Podgórzu**, Rynek główny 4. Prenumeratę zaś należy nadsyłać do Administracyi „Echa“, pod tym samym adresem.

Marya Konopnicka.

Największa z wieszczek Polski, a zapewne i całego świata, obchodzi w dniu 19 b. m. dwudziestopięciolecie swej poetyckiej twórczości. I z wszystkich zakątków Ojczyzny naszej płyną pod dach poetki Maryi Konopnickiej wyrazy wdzięczności, uznania, czci i hołdu, bo dźwięk jej wspaniałej harfy, dziś już aż do najodleglejszych, najcichszych dobrzmiewa zakątków. Zasłużyła sobie po długich dniach znoju i bólu na to, że łzy, które wypłakiwała nad nędzą ludzką i naszą niedolą, spłynęły perłami do wielkiej skarbnicy duchowej narodu, że wschodzi już siejba obfita, którą rzucała na zagon ojczysty, nieraz stroskana i zwątpieniem dręczona, czy przyszłość plon przyniesie.

I jakaż to siejba, która od lat 25 pada na niwy nasze, hojną dłonią Konopnickiej rzucana? — Otóż szła poetka na ugory, przez pola puste, przez czarne role, ponad któremi „dzień przyszłości wschodzi“, szła na ten ugór, który rozdziela oświeconych od ciemnych i zacofanych możnych od biedaków i nędzarzy, rozkoszujących się w szczęściu i powodzeniu, od tych, którzy w pocie czoła walczyć muszą o byt, o chleb powszedni, odpędzać marę głodu, wlokącą za sobą tak często występek i zbrodnię. „Pustemi pola“, „pustą rola czarna“, bo jakkolwiek do uprawy podatna, to jednak nie przyobleczona w ruń nadziei zieloną, jeno wzgardy lub nienawiści porosła.

Tam oto idzie poetka, nie ażeby sypać złe ziarno nienawiści bratniej, jeno rzucać

„ . . . siew bratniej miłości
Dla tych co słabi — i dla tych co prości,
Dla tych, co twardą, ciężką mają dolę“.

Lecz jakże często już niszczało ziarno dobre i zdrowe, gdy mu zabrakło ciepła. Poetka wie o tem i w pięknym poemacie, zatytułowanym „Co sieję“, uświadamia sobie, że „ciepła“ potrzeba do pomyślnego plonu i mówi:

„Ja ciepło sieję, by z niego jak z ziarna,
Światło na myśli błysnęło na niwie;
Drobne iskierki ja krzeszę cierpliwie,
Własnem je tchnieniem zasilam i żywię“.

Nie było dotąd poetki, któraby myślą swą tak szerokie zataczała widnokręgi, a umysłem i sercem jednocześnie tak głęboko wnikała w istotę społecznego życia, jak nasza jubilatka. Słusznie też we wspomnianym wyżej wierszu mówi:

„Ja ducha mego, ja krew moją sieję;
Ja pragnę wstrząsnąć tę ziemię zoraną,
Jak grzmot wiosenny, aż jutro z niej wstaną
Ludzie godniejsi piastować to miano“.

Ale mimo takiej oto świadomości, co powinna dać spokój i wewnętrzne zadowolenie, często smutek i gorycz wpada w jej duszę, bo rozbrat jeszcze na świecie, bo dziś jeszcze „rozterki jest pora“. Twórczej pracy wieszczki naszej nie przyświecała nadzieja pełnego za życia plonu, ale towarzyszyła wiara, że przynajmniej nad grobem jej idea braterstwa pełnym rozbłyśnie światłem:

„A ja wam mówię: mój kamień mogilny
Mieć będzie napis: „braterstwo i zgoda“.
I wzejdzie nad tą mogiłą pogoda,
I brat tam bratu z miłością dłoń poda“.

Chwała wielkiej poetki, która na potężnych strunach harfy, swemu narodowi pomyślniejszą pragnęła wyśpiewać dolę, rozbrzmiewa coraz głośniej i nadszedł dzień żniwa, w którym cała Polska wespół z Anną Neumanową zanucić może:

Idą głosy, idą głosy,
Z pól, gdzie żytnie brzęczą kłosy,
Z chat, co szarą strzechą kryte,
Z ziem, co siną mgłą spowite.
Idą głosy, z miodną rosą,
W srebrne gody, cześć Ci niosą.

Cześć, boś ludu smutek łzawy
W śpiewną duszy wzięła harfę;
Rubinowy ból ten krwawy,
W cudnej pieśni wplecion szarfę,
Rzucasz w błękit, gdzie posłuchy
Dźwiękom boże dają duchy.

Cześć Ci niosą serca ludu
Za ćwierć wieku, pieśni, trudu!
Cześć Ci niosą ciemne bory,
Zasłuchane w pieśni głosy!
Cześć Ci niosą białe dwory!
Pokłon złote biją kłosy!

. . . .
Z pszennym chlebem, z miodną rosą,
Idą głosy, cześć Ci niosą!

Alf.

Z KRAJU.

Korespondencye „Echa Polskiego“.

Podgórze 11 października.

Nowy zarząd gminny w Podgórzu stanowią: poseł na Sejm, Franciszek Maryewski, burmistrz: p. Walenty Emilewicz, asesor pierwszy; dalsi asesorzy: aptekarz Karol Łuczko; właściciel realności Władysław Marusiński; kupiec Samson Holzer i przemysłowiec Bernard Liban.

*

Każdego przejeżdżającego przez Podgórze, zwróci na siebie uwagę, na środku głównego rynku wystawiony, mały, nie ocieniony nawet drzewami... pałac. Myślałby kto, że to jest jaki pamiątkowy dom, muzeum, lub coś w tym rodzaju — a to nic innego, jak tylko... ustępowe miejsce. Ten co wpadł na pomysł takiego upiększenia Podgórza (podobno sam burmistrz Maryewski), godzien jest uwiecznienia w historyi. Bo wyobraźcie sobie Czytelnicy „Echa“ wielki rynek, a w jednym jego końcu kościół, w drugim ów... pałac, jak już wyżej powiedzieliśmy, nie ocieniony nawet drzewami. Czyż może się poszczycić drugie miasto w Europie, ba nawet na całej kuli ziemskiej — czemś podobnem?

Rzeszów 6 października.

Nieszczęśliwy wypadek zdarzył się tu przy budowie dwu nowych kasarń dla konduktorów kolejowych na Chmielówce. Spadł z wysokiego rusztowania ulubiony przez robotników i murarzy chłopak noszący wapno, nazwiskiem Władysław Józek i potłukł się śmiertelnie. Upadek jego był tem gorszy, że spadłszy ze znacznej wysokości na rusztowanie [illegible] stoczył się następnie do piwnic, skąd trudno było go wydobyć. Biednego chłopczynę, ofiarę własnej nieostrożności, zawieziono do domu z połamanemi żebrami i złamaną prawą ręką.

*

Przed paru dniami zginął mały półtrzeciaroczny chłopak, zabłąkawszy się w żydowskie zaułki. Po mimo poszukiwań rodziców (stróż tutejszego gimnazyum Dencikowski), policyi, a nawet żandarmeryi, zaginionego dziecka nie zdołano odszukać. Przepadł jak kamień w wodę.

*

O samych smutnych wiadomościach muszę Wam w dzisiejszej korespondencyi pisać. — Kiedyś znowu jedna ofiara kolejowego „szpar-systemu“ padła na tutejszym dworcu, lecz nie przejechana przez pociąg lub lokomotywę. Ofiara padła wskutek braku dozoru ze strony zarządu magazynów kolejowych, w których ruch jest bardzo ożywiony, a dozorowany tylko przez jednego magazyniera.

Wojciech Wietchy pomagał wyładowywać wielkie bloki kamienne, przeznaczone do budowy kościoła w Starejwsi. Garstka robotników przenosząca bloki i płyty z t. zw. „lory“ na wóz transportowy, przeceniła swą siłę, gdyż jeden z bloków zwalił się na nieszczęśliwego Wietchego, zgruchotał mu obie nogi i poszarpał trzewia. Nieszczęśliwy odwieziony do szpitala zmarł w kilka godzin nie odzyskawszy przytomności.

Majdan kolbuszowski, 7 października.

Czytając w zeszłym numerze „Echa“ korespondencyę z Wieliczki, o porządku, jaki tam panuje, pomyślałem sobie, że gdyby autor tej korespondencyi, zmuszony był przez jakiś czas, lub nawet przez kilka dni zamieszkać w naszem miasteczku, to dopiero dowiedziałby się, co to jest porządek.

Burmistrzem Majdanu jest... analfabeta. Nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe. Miasteczko bądź co bądź największe w całym powiecie kolbuszowskim, ma burmistrza, który ani czytać, ani pisać nie umie. Zastępcą burmistrza jest żyd, mający winiarnię i on też, można powiedzieć, rządzi tutaj wszystkiem, jak mu się podoba. Że wyjdzie ono na tych rządach, jak Zabłocki na mydle, dodawać chyba nie potrzebuję.

Nadwórna 1 października.

Tyfus brzuszny grasuje u nas w najlepsze i został już przez przybywających tu włościan rozniesionym po okolicznych wioskach. Nadwórna sama miała w ostatnich dniach 3 wypadki śmiertelne, a chorych około 50. Liczba ta widocznie jest jeszcze za mała, by władze sanitarne zarządziły jakie środki ostrożności, gdyż dotychczas nic a nic jeszcze nie uczyniono, aby zapobiedz dalszemu szerzeniu się tej choroby. — W dwóch numerach z rzędu poruszały to już także „Nowiny“ stanisławowskie, ale naszych władz nic nie może obudzić ze snu.

Charakterystycznem jest, iż Nadwórna, jako miasto powiatowe, znosi jeszcze takie braki, jak brak miejsc ustępowych, których niemal połowa realności tutejszych wcale nie posiada. Dalej jest w Nadwórnie mnóstwo zaułków, poprzecznic, uliczek króciutkich, które wcale nie posiadają ścieków, a dzięki niechlujstwu mieszkańców zawalone są kupami śmiecia i nieczystości, które tygodniami stoją nim promienie słoneczne zdołają je osuszyć. Gdyby tak władze wydały nakaz oczyszczenia tych poprzecznic, przyczyniłoby się to z pewnością wiele do podniesienia stosunków zdrowotnych w mieście.

Tłumacz 7 października.

Dnia 6 października rozpoczął się w miasteczku naszem sześciotygodniowy kurs sadowniczy, który urządza Zarząd Kółek rolniczych powiatu tłumackiego. Wykłada p. Poluszyński, instruktor sadownictwa przy Zarządzie głównym.

Zgłoszenia o przyjęcie na kurs przyjmuje prezes Za- rządu powiatowego, p. Stanisław Bohdanowicz, właściciel dóbr Petryłów, p. Uście zielone.

*

Tymi dniami wybuchł w Tłumaczu czwarty z rzędu wielki pożar w tym roku, który o tyle smutniej skończesię od poprzednich, że wśród niego padło ofiarą 5-letnui dziecko tutejszej mieszczanki. Płonący dach słomiany, usunąwszy się poparzył je w okropny sposób, poczem dziecko uciekając w pole padło bez przytomności. Ludzie pracujący opodal sądzili, że snop słomy w kapuście się dymi i dlatego nie śpieszyli się z ratunkiem, później dopiero znaleziono dziecię poparzone na całem ciele. Zmarło ono wśród strasznych męczarni w ciągu nocy.

Po kilkugdzinnych wysiłkach udało się pożar ugasić, tak, że nie przeniósł się na sąsiednie domy mimo wielkiego wiatru.

Stanisławów 8 października.

Czytelnia tutejszego Towarzystwa oświaty ludowej, uchwaliła zainicyować obchód jubileuszowy na cześć Maryi Konopnickiej. Do komitetu zaproszono delegatów wszystkich stanisławowskich towarzystw. Uroczystość urządzona będzie w pierwszych dniach listopada.

*

Dawno już miała się odbyć w naszem mieście uroczystość jubileuszu papieskiego, ale nie wiadomo z jakich przyczyn dotąd jeszcze się nie odbyła. Kilkakrotnie odkładana, ma się wreszcie nieodwołalnie odbyć dnia 19 października b. r.; jeżeli się rzeczywiście odbędzie, to Wam ją opiszę szczegółowo.

*

W zeszłym tygodniu odbywały się tu, pod kierownictwem naczelnika miejskiej straży gminnej p. Geislera kursa pożarnicze dla okolicznych straży ogniowych. Nauka odby-

Drohobycz 11 września.

Sławetne miasto nasze ma taki ratusz, który nie zadziwiłby nikogo, gdyby stał w Pacanowie, gdzie kozy kują, ale nie w Drohobyczu mającym pretensyę do „europejskości“.

W ratuszu tym we wtorek dnia 9 b. m., o godzinie 5 rano, zawalił się sufit w ubikacyi na pierwszem piętrze, stanowiącej poczekalnię dla stron, mających interesa w sądzie i starostwie powiatowem. Na miejscu wypadku zjawił się wkrótce burmistrz, kilku radnych, oraz inżynier miejski z fachowymi rzeczoznawcami, którzy orzekli na razie zamknięcie biur, a później wydał magistrat nakaz delożowania całego budynku, z wyjątkiem biur tabuli i kasy oszczędności, które znajdują się w lokalach sklepionych. Na szczęście katastrofa nastąpiła wczesnym rankiem, bo gdyby stała się o parę godzin później, mogłaby była być w skutkach nieobliczalną i bez ofiar byłoby się z pewnością nie obeszło; w dniu tym bowiem bardzo wiele stron miało termina i w sądzie i w starostwie.

Obecnie władze powyższe urzędują po różnych kątach, a gdzie ich później pomieszczą, jest to zagadką, bo mieszkań u nas brak wielki. Ponieważ rzeczoznawcy orzekli, że belkowanie w całym gmachu jest spróchniałe, więc pobieżnie restauracyi przeprowadzić nie będzie można, ale trzeba będzie cały gmach gruntownie odrestaurować, na co czasu i pieniędzy potrzeba. Katastrofa nastąpiła wskutek tego, że wieżę ratuszową chciano rusztowaniami podeprzeć, bo stan jej okazał się nie bardzo pewnym, a tymczasem ustawionych belek zmurszałe sufity nie wytrzymały.

*

— Dziesięcioletnia Marya Bojko, córka włościanina w Dobrowlanach, posprzeczawszy się w czasie zabawy z 8-letnim Hawryłem Seniuchem, pchnęła go tak silnie do studni, na której siedział, że chłopiec wpadł do niej głową na dół. Jakkolwiek pospieszono mu natychmiast z ratunkiem, wydobyto już tylko jego martwe zwłoki.

W dzisiejszym numerze, z powodu braku miejsca, zamieściliśmy tylko te korespondencye, które nadeszły najwcześniej. Korespondencyj z Jarosławia, Wadowic, Nowego Targu, Jasła, Tarnowa, Przemyśla, Rzeszowa, Kalwaryi i Nowego Sącza, nie mogliśmy już zamieścić, bo doszły nas zapóźno.

Przy tej sposobności jeszcze raz prosimy naszych Szan. Współpracowników prowincyonalnych, aby korespondencye nadsyłali na trzy dni przed wyjściem każdego numeru; nadesłane później, nie będą zamieszczone.

Prosimy o pisanie tylko prawdy, bo później musielibyśmy drukować sprostowania, a to nie należy do przyjemności. — Nazwiska zachowamy w najściślejszej tajemnicy, o co Szan. Korespondenci mogą być zupełnie spokojni.

Redakcya.

DZIAŁ LITERACKI.

S. DUCHIŃSKA

Idźmy dalej.

Czy nas zima mrozi lodem,
Czy skwar letni pierś przepali,
Z dzielną wolą, z sercem młodem
Idźmy dalej! — Idźmy dalej!

Choć nam nieraz bratnie słowo
Utkwi w piersi ostrzem stali,
W Bogu czerpmy siłę nową,
Idźmy dalej! — Idźmy dalej!

Niechaj piorun błyska w górze,
Niech stuletnie dęby wali,
My przez gromy i przez burze,
Idźmy dalej! — Idźmy dalej!

Czy świat gorzkim jadem bryźnie!
Czy wyszydzi, czy pochwali,
Służmy Bogu i Ojczyźnie,
Idźmy dalej! — Idźmy dalej!

Z. S.

Dwa słupy.

A tu las...

Ciemny — cichy las...

Rozdzielił się dużym płaszczem zieleni ciemnej na wysokiej ścianie góry — jakby ją całą chciał zasłonić. Wystrzelił szczytami świerków i jodeł, jakby chciał całą armię dzielnych obrońców postawić na tej górze i tak stoi — spokojny, cichy, niemy...

A tu — naprzeciw smutna skała, odarta z zieleni, krzewów, ziół i kwiatów.

Pusta i biedna...

Dołem, u stóp tej skały i pod brzeżech tego lasu płynie strumyk wąski, a na brzegach jego dwa — wielkie słupy...

Z lewej strony, żelazny słup z godłem orła austryackiego, z drugiej — słup drewniany — ciężki, gruby, pomalowany biało i żółto — na nim znak orła rosyjskiego.

Wiecież wy, co to znaczy?

To kordon graniczny oddzielający Polskę od Polski. To znak blizny, która jako cięcie srogie ręką nieprzyjaciela zarysowała się raną krwawą i nie zagojoną jeszcze — o nie!

A nad nią, po obu stronach stoją słupy, jak dziwne znaki pogrzebu niechrześciańskiego, jak nad mogiłą stawiane pomniki, które choć napisu nie mają — wiele mówią.

Stanęliśmy w milczeniu.

Cóż mówić nad grobem?

Cóż myśleć nad widokiem rany bolesnej i głębokiej i krwawej?

A z lasu niby się przekrada trwożny i tęskny szept ku owej skale ubogiej po drugiej stronie i mówi jej: — Mojaś ty!

A od pola z tamtej strony płynie jakaś pieśń żałosna i nuci z płaczem najcięższego bólu: — — — Czemu nas rozdzielono?

A strumień w dole płynie wartko i niby chce uciekać najdalej stąd — gdzie go zmieniono w graniczny łańcuch, gdzie mu kazano ciągle patrzyć na dwa słupy, wbite niby miecze w pierś matki...

To pod skalną ścianą, bez żadnego krzewu i zieleni żadnej — coś miga.

Jakiś cień rysuje się na gałęziach.

Coś miga światłem słońca, które odbija się niby w zwierciadle — ginie i znów świeci.

Czyjeś kroki — coraz wyraźniej...

Ach! to sołdat z bagnetem na ramieniu idzie, obchodząc swą straż od słupa do słupa.

Sołdat strzeże kordonu, aby nie przestąpił na tamtą stronę jaki człek niebezpieczny dla państwa rosyjskiego, który ma wielką przewinę w sobie — serce polskie i polską duszę!

Sołdat strzeże kordonu, aby nie zdołał kto z tej strony przemówić słów parę do brata mieszkającego z tamtej strony, boć przecie dwa słupy wbite na to, aby przypominały, że to niewola!

Ej sołdacie! czy nie szkoda twego trudu?

I twój bagnet nie pomoże i twój mundur nie zastraszy — od lasu do skały płynie szum cichy, a on niesie polskie słowo tamtej stronie — leci ptak szary i ma w swym locie szept skargi naszej, skargi za krzywd tysiące i niesprawiedliwości wiele... Nad zagonami pól, dołem, mgłą lekką, rosą chłodną unosi się oddech naszej ziemi biednej — czy go sołdacie wstrzymasz, aby nie płynął po za te słupy graniczne?

A tu las...

Ciemny — głuchy las...

A tych słupów granicznych czy nie las cały tędy od Bałtyku aż po morze drugie?

Przecięta blizna kordonu między ziemią naszą, zabraną przez Prusaków, a oddzieloną od ziemi zabranej przez Moskali.

Tutuj idzie linia odgraniczająca ziemię zabraną przez Austryę i przez Moskwę.

Co to za długa smuga rany najboleśniejszej dla narodu? Ileż tych słupów stoi po jednej i po drugiej stronie?

A jednak — gdy patrzymy na te znaki niemiłosierdzia ludzkiego — rozpacz nam serca nie przecina — dusza nie płacze smutkiem beznadziejnym...

Dla myśli, dla serca, dla wspomnień naszych najdroższych i dla marzeń na przyszłość naszej Ojczyzny słupów, kordonów i sołdatów niema.

Sołdat wraca — idzie dalej, znów wraca i tak wzdłuż blizny tej wielomilowej chodzi ich tysiące... ale nie ustrzegą, byśmy myślą tam nie lecieli, byśmy tamtej części Polski nie kochali, byśmy sobie nie powtarzali raz po raz: i to nasze i tamto nie wasze.

Dwa słupy patrzą na siebie...

Kiedy one tu wbite były raz pierwszy? Długo one tu stać będą?

Ej lesie ty ciemny — ty wiesz pewno, kiedy ten czas przyjdzie, gdy te słupy obalą się, a sołdata nikt w tej stronie nie obaczy. Ej ty lesie smutny — ty wiesz dobrze, o czem serca z tamtej strony marzą i w co wierzą szczerze. Więc też szeptaj w ciche noce tamtej skale smutnej, iż się blizna ta zagoi...

To nas nie rozdziela — co dział graniczny stanowi. I te słupy dwa — granicą nie są... Są to rany, a z ran wyleczyć się można.

Ciemny lesie — głuchy lesie — czy ty wiesz, gdzie zioła na zagojenie tych ran?...

Tych ran...

NAPIERSKI

Kołysanka.

(Z PIEŚNI O NĘDZY).

I.

Śpij moje dziecię! Sen daje ciszę,
Sen troski życia z duszy wypędza;
Lecz ja do innych snów cię kołyszę —
Ja twa piastunka, matka twa — Nędza,
Ja czuwam wiecznie nad twym snem.

Jam cię znalazła nad mętnym ściekiem,
Jam cię w łachmany me ogarnęła —
Karmiła mojem zatrutem mlekiem
Jad mojej piersi w pierś ci zionęła
Uścisków mych mogilnych tchem!

Więc ja ci nie dam rojeń wiosennych,
Lecz dam ci hańby widziadła czarne,
Gdzie ujrzysz w grozie mroków bezdennych
Twego żywota wieszczby cmentarne —
Więc śpij wybrańcze, synu mój!

Śpij w mą zgrzytliwą wsłuchany pieśnię,
Bo pójdziesz wcześnie — może zawcześnie
Na bój bez armat i bez kartaczy,
Bój bez deboszów i bez trębaczy —
Z głodem na bój!

II.

Jam ci okryła dziecięce łono
Mego wybrańswa wieczystym kirem;
Skroń ci obleję łzą potu słoną
I kaleczącym usypię żwirem
Czarniejsze twe od nocy dnie!

Żadna tak matka jak ja nie kocha!
Słuchaj — ja zawsze będę przy tobie:
Kościstą ręką ujmę pieszczocha
Zimnym oddechem otulę w grobie.
Nie ujdziesz mnie! Nie ujdziesz mnie!

Nie ujdziesz ramion mych ołowianych,
Próżne twe młoty, próżne oskardy,
Ja nie opuszczam moich wybranych:
Wszędzie dosięga uścisk mój twardy
W snach i na jawie, synu mój!

Więc ja cię we śnie tęczą nie złudzę —
I nim noc minie ja cię przebudzę —
Na bój bez armat i bez kartaczy,
Bój bez doboszów i bez trębaczy —
Z głodem na bój!

III.

Nie będą tobie śpiewać słowiki,
Ni gaj zielenią świeżą zaszumi —

Ty słyszeć będziesz przekleństw okrzyki,
Stęchłe powietrze oddech ci stłumi
A mroki ci zakryją dzień!

Ilekroć zechcesz ludzką mieć duszę,
Ja w tobie zbudzę troski bydlęce,
Ja w tobie myśli wszystkie zagłuszę,
Spodleniem czucia wszystkie okręcę,
By duch twój nie miał żywych drgnień!

Na co ci senne cisze i zorze?
Ha, nie śpij wcale i czuwaj we śnie,
Czcij swe barłogi, czcij swe obroże
W wiernej macierzy wsłuchany pieśnię!
Więc nie śpij ty, wybrańcze mój!

Czuwaj i zbudź się — i wdziej łachmany
I wstań, bo oto jużeś wezwany
Na bój bez armat i bez kartaczy,
Bój bez doboszów i bez trębaczy —
Z głodem na bój!

WŁ. ORKAN

Nad urwiskiem.

Promienie wiosennego słońca, idąc ukosem po niedawno ze śniegu obeschłych stokach, doszły do pustych wyrębów na stromem uboczu góry, zarysowały bielą stado siedzących rzędami ptaków i zbłękitniły dym, rozpływający się ku górze białą chmurą, a dobywający się szarymi palcami z każdego gonta, z każdej szpary niskiej chałupiny leśnej.

Ludzie już wstali — słońce dalej poszło, nie zajrzało.

Wstali od świtu mieszkańcy chałupiny leśnej.

— Na wiesnę drogi czas, na spanie zima. Wstań, ugotuj śniadanie i do pola!..

Temi słowy obudził Bartek swoją babę.

Przeciągnęła się leniwie, jak kotka na przypiecku. Ciepło jej było i dobrze. Ale »jak mus, to mus«. Wyskoczyła z łóżka, wdziała spodnicę i przeszła ku nalepie, a dzieci zbudzone gwarą, figlowały z ojcem na łóżku.

Niezadługo Bartek zostawił dzieci same, wytrzepał z włosów szczecinowatych słomę, co mu przez noc nalazła i umywszy się zimną wodą z konewki, przeszedł do okna zmówić pacierz...

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie — szeptał bezmyślnie, patrząc przez szyby na dolinę, gdzie cała wioska osiedlami się rozłożyła. Zagony krótsze i dłuższe krzyżują się naprzemian, wchodzą jedne w drugie i klinami wdzierają się w puste ugory i pastwiska. Zda się, że wielka jakaś siła rzuciła stary, zzieleniały płaszcz na ziemię, na którym łata na łacie o różnych wielkościach i barwach...

— Ale nas zbaw ode złego — dodał głośniej i zwrócił się do żony. — Patrzno Ulka! Jasiek od Grele już hań orze koło Zimnej Wody.

— A niechta! — odpowiedziała, wsypując ziemniaki do garnka. — Jak Bóg da, to i my zaorzemy na czas. Nie mamy wiela...

— E, dyć!... — zasępił się Bartek i począł dalej szeptać: — Zdrowaś Maryo, łaskiś pełna... Nie mamy wiela, nie...

Po każdym następnym »Zdrowaśku« chwytał się za każdy palec następny, żeby nie zmylić przypadkiem, bo miał zamiar zmówić całą cząstkę różańca. Aleć przy piątym zdrowaśku już nie mógł nijako dojść do końca...

To zaczynał na nowo, to się żegnał parę razy, ale wszystko na nic. Nie mógł przywołać myśli, które woli jego już od samego świtu wypowiadały posłuszeństwo, a teraz stanęły w jawnej niezgodzie z nim samym. — Nie porada se dać rady — szepnął i poszedł za niemi, gdzie go wiodły.

Widzi... »Jasiek orze zagon koło Zimnej Wody. Hań, za Działek wyciągnął pług Józek od Cieśli... małemi byczętami... nie stać go na większe... A przecie do niedawna był z niego rzomny gospodarz!«.

Przebiega okiem pola i zagrody... »Jak to wszystko zmalało do kaduka! Hań nieboszczyk Szymek od Grzędy miał ten kawałek... całe długie stajanie... Dziś ino strzępy. Dzieciska potargały, podzieliły się do równości — zostało im po zagonie... A dyć ono nie ino hań! Bo i u Zapały nie dojrzysz kawałka na całej roli, coby korzec owsa mógł wleść na niego... Same zagony wąziuteńkie jak nitki... Miedze i miedze — jedna przy drugiej... Do kaduka! Cóż się to dzieje? Przecie to niedawny czas, a tak się pozmieniało wszystko... Coby to było?« — Myśli... »Aha! już wnedziutki... ino. ino... zaraz... Nieboszczyk dziadek miał całą tę zagrodę, ka ja siedzę... Dziś nas pięciu do tego... bo tak: on podzielił synów, ci — swoje dzieci... a ja znowu podzielę... Jezus kochany!« — krzyknął głośno.

— Bartek! cóż sie ty drzesz? — zawołała przestraszona baba i podeszła ku niemu.

Bartek nie słyszał nic... Przerażone oczy latały od miedzy do miedzy, od zagona do zagona — myśl pracowała uparcie, aż mu pot kroplami stanął na czole. Z wyobraźni znikała wieś dawna, którą jeszcze w myślach nosił — i dzisiejsza oddalała się zwolna — a z poza mgły, z przyszłości, występują miedze... same miedze, jedna przy drugiej, gęsto, jak skiby na uwrociu... Wilgotne bruzdy czerwienią się rdzawo, jak gęsto ścięta, skrzepła krew... A tłumy ludzi idą mrowiskiem, czernią, milionową szarańczą zalewają krwawe pola... I widać, jak się to robactwo kłębi, dusi, spycha i walczy zajadle o każdą skibę, aż ziemia powilgotniała od czarnej posoki, a ciepłe opary unoszą się w powietrzu...

Chłop drgnął — ujrzał się nagle nad urwiskiem... Szklanne oczy spojrzały w przepaść... Przymknął je, jakby w obliczu śmierci. Widmo okropnej nędzy stanęło tuż przy nim, blisko... Zeszedł się z niem oko w oko. I zbladł i począł dygotać na całem ciele... Każda żyłka zadrgała przerażeniem.

Jezus! Jezus! — wykrztusił i otwarł szeroko oczy zapatrzone w przyszłość...

— Co ci to Bartuś? — spytała miękko żona.

— Nic, nic...

Ruszył do sieni, żona za nim...

— Ka idziesz?

Nie odrzekł nic. Wyszedł za próg, na osiedle, wyciągnął pług, nabił lemiesz i trzósło i poszedł do stajni wyprowadzić woły...

— Trza robić, trza... — powtarzały wargi wciąż i bezustanku.

Robi wszystko jak dawniej, lecz machinalnie i bez czucia. Wiarę stracił — i porusza się jak maszyna, party jedyną koniecznością życia.

— Trzeba żyć, trzeba...

W szeroko otwartych i naprzód zapatrzonych oczach drzemie tylko jedna jedyna myśl — o czarnej przyszłości...

PRZEGLĄD PRASY.

* * *

W każdym numerze „Echa Polskiego“ zamieszczać będziemy głosy prasy polskiej, a głównie galicyjskiej, o wszystkich ważniejszych sprawach, obchodzących nasze społeczeństwo. Ci więc czytelnicy „Echa“, którzy nie prenumerują codziennych pism, z „przeglądu prasy“ będą wiedzieli o czem nasze gazety piszą i jak się która na daną sprawę zapatruje.

* * *

Prasa codzienna galicyjska.

W Galicyi wychodzi 13 dzienników; w Krakowie 5, a we Lwowie 8.

W Krakowie wychodzą: 1) „Czas“ (dwa razy dziennie), najstarszy dziennik galicyjski, organ konserwatystów; 2) „Głos Narodu“, założony przed dziesięcioma laty przez znanego powieściopisarza i publicystę Józefa Rogosza, pismo demokratyczne o zabarwieniu antysemickiem, redagowane obecnie przez dra Antoniego Beaupré; 3) „Nowa Reforma“, wychodząca od lat 20, założona przez Adama Asnyka, jedno z najpoważniejszych pism polskich, o przekonaniach demokratycznych, redagowane przez M. Konopińskiego; 4) „Naprzód“, organ partyi socyalno-demokratycznej; 5) przed kilkoma tygodniami założony „Kuryerek krakowski“, pisemko brukowe, ilustrowane, nie zajmujące się polityką, ani wogóle żadnemi rzeczami poważnemi.

We Lwowie wychodzą: 1) „Dziennik Polski“ (dwa razy dziennie), pismo demokratyczne, redagowane przez dra Ostaszewskiego-Barańskiego; 2) „Gazeta Narodowa“, konserwatywna, organ namiestnika hr. Pinińskiego; 3) „Gazeta Lwowska“, urzędowa, redagowana przez znanego powieściopisarza A. Krechowieckiego; 4) „Kuryer Lwowski“, organ stronnictwa ludowego, redagowany przez H. Rewakowicza i J. Stapińskiego; 5) „Przedświt“, wychodzący dopiero drugi rok, pismo o przekonaniach katolicko-demokratycznych; 6) „Przegląd“, skrajnie konserwatywny; 7) „Słowo Polskie“ (dwa razy dziennie), jedno z największych pism polskich, demokratyczne, założone przez St. Szczepanowskiego, obecnie wydawane przez W. Wolskiego, a redagowane przez Popławskiego, Dąbrowskiego, Kasprowicza (ten ostatni prowadzi dział literacki); „Wiek Nowy“, pismo ilustrowane, prowadzone w duchu demekratycznym.

Oprócz Krakowa i Lwowa żadne inne miasto w Galicyi nie może się zdobyć na swój dziennik. W Przemyślu, Rzeszowie, Stanisławowie, Samborze, Sandomierzu, Tarnowie, wychodzą tygodniowe pisma.

Po poznańskiej mowie Wilhelma „gadatliwego“, w której ten „admirał mórz zachodnich“ „pozwolił“ Polakom przechowywać w głębi duszy wspomnienia narodowe, pewna garstka szlachty w Poznańskiem, rozpoczęła znów swą robotę ugodową. Żywią oni nadzieję, że teraz nastąpi zmiana w traktowaniu ludności polskiej, bo cesarz Wilhelm powiedział, że każdy poddany pruski może wierzyć jak chce i mieć „swego“ Boga, a tradycye narodowe przechowywać w głębi serca nikt mu nie zabroni.

Przeciw takim złudzeniom i powierzchownej ocenie słów króla pruskiego, wystąpił w jednym z ostatnich numerów **„Głos Narodu“**. Pisze on:

> Jeżeli cesarz jest na tyle wspaniałomyślnym, że pozwala Polakom na to, czego zabronić nie jest w stanie, aby w głębi duszy przechowywali wspomnienia narodowe, to zakrawa to po trochu na niesmaczny żart, żadną miarą zaś nie może być poczytanem za jakiekolwiekbądź ustępstwo lub złagodzenie panującego dotąd systemu. Istota narodowości bowiem nie polega na „wspomnieniach“, ale na utrzymaniu i pielęgnowaniu języka, obyczajów, religii i wszelkich cech narodowi właściwych. Kto je utraci, kto stanie się, jak chce Wilhelm II, Prusakiem i „wiernym Niemcem“, temu nie pomogą ani tradycye, ani wspomnienia polskie przechowywane na dnie serca, ten narodowość swoją stracił niepowrotnie, tak jak stracili ją Słowianie w Meklemburgii i Brandenburgii.
>
> Precz zatem z złudzeniami! bo mowa poznańska jest zapowiedzią dalszej, wytrwałej germanizacyi, a różni się od malborskiej tylko tonem cokolwiek łagodniejszym.
>
> Społeczeństwo polskie zamiast marzyć o jakimś nowym „kursie“, musi być przygotowane do walki w obronie najświętszych praw narodowych i przyszłości następnych pokoleń. Miejmy nadzieję, że w tym śmiertelnym boju dopomoże nam „nasz“ Bóg, Ten sam, co przed wiekami na polach grunwaldzkich poddał pod miecz polski harde karki krzyżackie.

Biedne, prawdziwie biedne to gimnazyum polskie w Cieszynie. Tyle razy przyrzekał je już prezydent ministrów Koerber upaństwowić, tyle razy prezes Koła polskiego Jaworski przez oddane sobie dzienniki galicyjskie uspokajał opinię publiczną, że rząd już, „już w najbliższej przyszłości“ spełni słuszne żądanie ludności polskiej na Śląsku — a gimnazyum jak nie było, tak nie jest i zdaje się długo jeszcze nie będzie upaństwowionem, bo... Niemcy tego sobie nie życzą. Grożą oni teraz w swoich pismach, że nietylko nie dopuszczą do upaństwowienia gimnazyum polskiego w Cieszynie, ale zmuszą rząd, żeby nie pozwolił na otwarcie w temże mieście seminaryum polskiego, fundowanego za polskie, prywatne pieniądze.

„Nowa Reforma“ szydzi z tych gróźb i radzi Niemcom austryackim, by nie przenosili hakatyzmu z Prus do Austryi, bo następstwa takiej roboty, byłyby dla nich bardzo... niezdrowe.

> Należy się z góry przygotować — pisze „Nowa Reforma“ — na zacięte walki w parlamencie, gdy rząd wstawi w budżet odpowiednią kwotę na upaństwowienie gimnazyum polskiego w Cieszynie. Nadto posłowie polscy muszą, w formie interpelacyi lub naglego wniosku, zażądać wyjaśnień, dlaczego rząd stawia nam trudności w otwarciu seminaryum cieszyńskiego? — Tutaj nie wolno nikomu bawić się w oportunizm polityczny, a Koło polskie musi rządowi postawić kwestyę „aut — aut“. Albo żyjemy w państwie prawnem, uporządkowanem, i tesame prawa obowiązują rząd wobec nas, jakie przysługują Niemcom, lub choćby Czechom — albo jesteśmy w Austryi, podobnie jak w Niemczech i Rosyi, narodem z pod praw wyjętym. W pierwszym wypadku nie wolno rządowi zamykać szkół, za nasze pieniądze fundowanych, dlatego, że one się Niemcom nie podobają i nie wolno mu odmawiać tego samego upaństwowienia polskiej szkole, które przyznał, wśród równych warunków, Czechom i Niemcom — w drugim wypadku wyjaśnią się stosunki i ludność polska nie będzie miała złudzeń i przynajmniej będzie wiedziała, czego ma się na przyszłość w Austryi spodziewać.

Niechże się wreszcie raz wyjaśnią w Austryi stosunki narodowościowe, bo w tej pomroce, w której obecnie wszyscy omackiem chodzą, dalsza egzystencya staje się wprost niemożliwą.

W czasopiśmie wiedeńskiem „Die Zeit“, jakiś dr. Marcin Strahl z Poznania zamieścił artykuł p. t. „Die Polenfrage in Preussen“, w którym o kolonizacyi w Poznańskiem pisze tak: „Dzieło kolonizacyi w Poznańskiem i w Prusiech jest w toku. Wszędzie powstają nowe niemieckie wsie. Długim łańcuchem ciągnie się dwór za dworem, a Niemcy wszelkiego dyalektu zaludniają kraj. Gdzie się dobrze kupuje i dobrze przygotowuje, utrwalają się zadowolone egzystencye. Wprawdzie może to być gorzkiem dla Polaków, że to się dzieje także za ich pieniądze (płacone w podatkach. *Przyp. Red.*) i że oni tej ziemi za swoje własne pieniądze odkupywać nie mogą. Ale to nie jest wcale nieszlachetna wojna; odbywa się energiczna robota kulturna przez tę kolonizacyę“.

„Słowo Polskie“ zamieszczając to w artykule „Zwyrodnienie etyczne“, pisze:

Miałoby się ochotę zapytać co się może jeszcze wogóle nazwać „nieszlachetnem“, „pod jasnem słońcem i pod tem bożem niebem“, jeśli nawet takie gwałty uważane są wprost za czyny „szlachetne“.

. . . .

Z takim jednak człowiekiem, który jak dr. Strahl uważa swój naród za „Herrenvolk“, mający nietylko prawo do gnębienia i wyzuwania innych narodów z indywidualnego bytu, lecz nadto jeszcze pretensyę do szczególniejszej za to „szlachetności“, niema co dyskutować. Można i trzeba tylko stwierdzić, że zwyrodnienie etyczne jest najwidoczniej chorobą głęboko w Niemczech zakorzenioną, skoro ogarnęło nawet umysły spokojne i nienamiętne.

i kończy:

Głosy takie, jak pomieszczony w „Die Zeit“ artykuł p. Strahla, posłużą nam tylko do zoryentowania się w sytuacyi i do przekonania nas, że z Niemcami możemy i powinniśmy prowadzić walkę na śmierć i życie.

Dlaczego rząd nie zwołuje Sejmu galicyjskiego na sesyę jesienną? Pytanie to rozstrząsa **„Przedświt“** z dnia 12 b. m.

Według przyrzeczeń rządu — pisze „Przedświt“ — Sejm miał się zebrać ponownie we wrześniu. Tymczasem pomimo nawoływań całej prawie prasy i starań marszałka krajowego w Wiedniu, pomimo że czekają sprawy pierwszorzędnej dla kraju doniosłości, nic dotąd nie wiadomo o zwołaniu Sejmu, równocześnie bowiem cała półurzędowa prasa, nie wyłączając lwowskiej, pisze o bliskim terminie obrad parlamentarnych, na Sejm przeto brak czasu.

. . . .

Dziś niema na usprawiedliwienie postępowania rządu nawet tych pozorów, które można było przytoczyć w lecie, ani Rada państwa bowiem, ani delegacye nie zabierają obecnie czasu. Jeśli Sejmu nie będzie, to wina spada wyłącznie na rząd i to bez żadnych okoliczności łagodzących.

Nasze miarodajne sfery powinnyby w takim wypadku wystąpić tem ostrzej, że nie rozchodzi się jedynie o spełnienie konstytucyjnego obowiązku, o teoretyczną pełnię praw kraju, lecz o pozytywną pracę, nie cierpiącą zwłoki. Pomimo wszystkiego, pomimo swego drobnego zakresu działania i jeszcze drobniejszego wpływu, Sejmy krajowe mają szczególniej dla krajów rolniczych ogromną praktyczną doniosłość one bowiem decydują o wszystkich kwestyach kultury krajowej. Dzisiaj leżą dwie takie sprawy — biura pośrednictwa pracy i ustawa o włościach rentowych — a w obecnej chwili nie potrzeba chyba wspominać o ich wartości dla rozwoju naszych stosunków. Oddawna już rząd systematycznie prawie utrudnia pracę ustawodawczą Sejmu, przewlekając sankcyonowanie uchwalonych projektów, lub nie przedkładając ich do sankcyi dla najdrobniejszych powodów.

W końcu swego artykułu „Przedświt“ pisze, że prezydent ministrów Koerber pozwoli na zwołanie Sejmu, jeżeli posłowie nasi w Wiedniu potrafią znaleźć argumenty, które przemówią mu do przekonania. Argumentami tymi będą groźby, po których mogą nastąpić czyny.

TEATR I LITERATURA.

Kilka słów o teatrze ludowym w Krakowie.

Przechodnia idącego ulicą Krowodorską w Krakowie, zwróci na siebie uwagę mały, jednopiętrowy dom pod l. 31. Czarnemi, dużemi literami wymalowany na bocznej ścianie napis, objaśni go, że stoi przed teatrem ludowym.

Od kilku lat różni wielcy i mali znawcy i miłośnicy sztuki w rozmaitych czasopismach rozwodzili się nad potrzebą teatru przeznaczonego dla uboższej ludności miasta, w którym za tanie pieniądze, ludność ta mogłaby znaleźć miłą i pouczającą rozrywkę. Na tem pisaniu jednak wszystko się kończyło, bo nikt nie chciał dla jakiejś tam „głupiej idei“ zaryzykować kilkuset koron.

Dopiero zeszłego roku, znany w całej Polsce artysta Zawadzki, nie lękając się przeciwności, postanowił założyć taki teatr i — co postanowił, tego dokonał. Wydzierżawił od miasta na dwa miesiące wielką ujeżdżalnię pod klasztorem OO. Kapucynów i dnia 15-go lipca „Kościuszką pod Racławicami“ Anczyca, rozpoczął szereg przedstawień.

Powodzenie było olbrzymie — nadspodziewano. Na każdem przedstawieniu wielka ujeżdżalnia była wypełnioną po brzegi. Byt teatru ludowego zdawał się być zapewnionym.

Taki obrót sprawy nie podobał się dyrektorowi teatru miejskiego Kotarbińskiemu, który wszelkiemi silami starał się przeszkodzić dalszemu istnieniu i rozwojowi teatru ludowego. Po długich i cichych krętaninach dokazał tego, że Rada miejska, a właściwie prezydent Friedlein nie wydzierżawił Zawadzkiemu ujeżdżalni na dalsze dwa miesiące.

Ale Zawadzki nie założył rąk bezczynnie i nie powiedział sobie: „głową muru nie przebiję“, jak to zwykle w Galicyi robią wszyscy, którym raz coś się nie uda, lecz postanowił dalej walczyć z przeciwnościami w obronie teatru ludowego. Razem ze znanym z przedsiębiorczości krakowskim introligatorem Olszeniakiem, kupił przy ul. Krowoderskiej pewną część placu, na którym stała spalona fabryka żelaza Petersenia i już od 31 marca b. r. w nowo wystawionym budynku rozpoczął ze swoją trupą dawać przedstawienia.

* * *

To jest krótka historya krakowskiego teatru ludowego. Uwagi o obecnym składzie personalu tego teatru i o grze poszczególnych artystów i artystek, z braku miejsca odkładamy do następnych numerów. Tutaj tylko zwrócimy uwagę reżysera, którym od trzech tygodni jest sam dyrektor Zawadzki na grę p. Solnickiego.

Artysta ten, najlepszy po pp.: Borskim i Kalinowskim, ma jedną bardzo wielką wadę, a mianowicie: nie uczy się dobrze ról. Dla zjednania sobie oklasków galeryi, prawie w każdem przestawieniu, w którem bierze udział, zamiast wyuczyć się dobrze swej roli i grać zgodnie z intencyą autora danej sztuki, wtrąca on swoje słowa i dowcipy, które raz na zawsze mogą odstraszyć od teatru ludowego. O p. Kicińskim możnaby tosamo powiedzieć, tylko on więcej uważa na to co mówi.

Sądzimy, że przy trochę większej uwadze ze strony dyrekcyi, to złe da się usunąć — i mamy nadzieję, że z pewnością będzie usuniętem. *mr.*



ROZMAITOŚCI.

Ilu jest Polaków? Według najnowszych obliczeń, my Polacy, co do liczby zajmujemy w Europie siódme miejsce. Przed nami idą: Anglicy, Rosyanie, Niemcy, Francuzi, Hiszpanie i Włosi. Po nas idzie reszta narodowości. Nie mamy się jednakowoż z czego bardzo cieszyć, owszem smucić się powinniśmy, gdyż liczba naszych powinna być o wiele większą. Bardzo wielu bowiem Polaków wyrzekło się swojej narodowości dla pieniędzy i karyery i do kraju wracać nie chcą. Inni żenią się z kobietami obcej narodowości, a dzieci ich przepadają dla narodu, bo ojcu nie chce się do nich mówić polskim językiem Są i tacy rodzice polscy, którzy przez głupotę i lenistwo nie chcą uczyć dzieci polskiego języka, mówiąc, że potrzebny jest dla nich tylko język tego kraju, w którym żyją. Wskutek tego nędznego rozumowania przepadły już miliony polskich dzieci w Ameryce, Francyi, Włoszech, Niemczech i Rosyi.

Wystawa światowa w St. Louis. W r. 1903 ma się odbyć powszechna wystawa w mieście St. Louis w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, na stuletnią pamiątkę sprzedania ówczesnego terytoryum Louisiana przez Napoleona I ówczesnym Stanom Zjednoczonym.

Wystawa ta świetnością i różnorodnością ma przewyższyć wystawę paryską z r. 1900. Amerykanie spodziewają się wielkiego przypływu gości ze wszystkich części świata Między przedsiębiorstwami, które podjęte będą z okazyi wystawy, wymieniają popisy jazdy nadpowietrznej balonami, w których ma wziąść udział głośny aeronauta hr. Zeppelin i Santos Dumont.

Prasa polska za Oceanem. Pierwszą gazetą polską na ziemi amerykańskiej był „Orzeł biały“ — założony w roku 1870. Później mnożyły się jak grzyby po deszczu. W ciągu lat 30, od roku 1870 do 1900 powstało ich około 120; nie wszystkie zdołały się utrzymać; były między niemi bowiem i takie, które nie wynikały z ogólnej lub lokalnej potrzeby wychodźtwa polskiego, lecz jedynie służyły politycznym celom Anglo-Amerykanów. Ci potrzebując nieraz głosów polskich przy wyborach, wiedzieli, że pozyskają je jedynie, przemawiając do Polaków po polsku. Dawali więc pieniądze na założenie polskiej gazety, ale dopiąwszy celu, pozostawiali je własnym siłom, które na dalszy byt nie starczyły.

Jednak — z owych 120 pism utrzymało się aż 47. W tej liczbie jest dziś pięć pism codziennych.

Do najpoczytniejszych należą: „Dziennik Chicagowski“ rozchodzący się w 10.000 egzemplarzy; 2) „Dziennik Narodowy“ w Chicago; 3) „Polak w Ameryce“ w Buffalo; 4) „Kuryer Polski“ w Milwaukee; 5) „Zgoda“ w Chicago, organ Związku narodowego; 6) „Prawda“ w Detroit; 7) „Patryota“ w Filadelfii i 8) „Naród“ w temże mieście. Ogółem cyfra abonentów pism polskich wynosi 150.000. Wszystkie pisma odznaczają się gorącym duchem narodowym, większość obok tego także duchem katolickim.

Kto najchętniej płaci podatki w Austryi. 1) Stawiający na loteryi liczbowej, którzy w naiwności swej dobrowolnie wnoszą do skarbu państwa 16 milionów rocznie. 2) Palacze tytoniu, którzy płacą 100 mil. rocznie. 3) Alkoholiści, których podatek bezpośredni przynosi państwu 110 milionów rocznie.

Dobra uchwała. W półn. Ameryce, jak donoszą tamtejsze gazety, w ostatnich czasach zauważyć można było agitacyę zą obostrzeniem praw małżeństwa, a zwłaszcza, aby władze decydowały, czy kandydaci do kobierca ślubnego są sobie odpowiedni czy nie cierpią na jakie chroniczne choroby, lub też na choroby umysłowe. W kilku Stanach Północnej Ameryki nawet przedstawiono odpowiednie projekta do prawa i w jednym, zwłaszcza w Indiana, prawo takie zostało przyjęte. Prawo to jeszcze nie jest obowiązującem, ale stanie się niem niezawodnie za kilka tygodni, a wówczas tak mężczyzna jak i kobieta, mający zamiar zawrzeć związek małżeński, przed dostaniem zezwolenia na ślub będą musieli poddać się oględzinom lekarskim.

Przy grach i zabawach przy uroczystościach publicznych i rodzinnych, przy zakładach i zapisach — wszędzie i zawsze pamiętajmy o funduszach Towarzystwa Szkoły Ludowej!

Nadesłane.

(Dział ten nie pochodzi od redakcyi).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor K. Kozłowski. Drukiem W. Poturalskiego w Podgórzu.